

„Jadę się żenić!”

Tadeusz Terefenko

Pierwsza moja podróż (przemytncza) miała miejsce, gdy jechałem na Ukrainę do Równego, aby się ożenić. Był rok 1970, a ja miałem w kieszeni pozwolenie wydane przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych na zawarcie związku małżeńskiego z obywatelką Ukrainy – Marią Podworniak. Wtedy jechałem troszkę w nieznanie i brat Stebelski, który zapoznał mnie z moją przyszłą żoną, (był w tych czasach kierownikiem domu starców w Narewce) przysłał mi duży karton Biblii. Prosił, abym go nie rozpakowywał i poradził, abym na wierzchu położył ziele angielskie i amoniak, a w razie kontroli powiedział, że to potrzebne na wesele. Sam karton ważył około 15-20 kg i najpierw stał półtora miesiąca w moim domu. Wszyscy mnie przekonywali, abym go nie brał, bo i tak sporo było problemów z załatwianiem tego naszego ślubu. Jednak nie dałem się przekonać i powiedziałem, że jeśli to wszystko - ślub i żona - jest od Boga, to Bóg mnie przeprowadzi. I pojechałem razem z kartonem.

Gdy na granicy weszli radzieccy celnicy, do mojego przedziału na kontrolę weszła kobieta. Troszkę się wystraszyłem, bo kobiety są bardziej dokładne. Moją walizkę miałem na dole, w nogach, a karton, w którym były Biblie, postawiłem na górze. Celniczka zajrzała do walizki, a potem spojrzała na górę i zapytała się: „Czy jest ten karton na półce?” Odpowiedziałem, że mój. „Co pan tam wiezie?” - padło pytanie.

„Żenić się jadę” – powiedziałem i pokazałem swoje dokumenty oraz zezwolenie - „więc wziąłem cukier, mąkę, ziele angielskie, amoniak – jednym słowem zaopatrzyłem się, bo w Polsce mówią, że głód u was jest”. Celniczka roześmiała się i powiedziała, że u nich wszystko to jest: i chleb i cukier i mąka. Ja grzecznie na to, że nie wiem jak jest, ale skoro ludzie tak mówili, więc na wszelki wypadek wiozę. Na to ona już nic nie powiedziała, ale wcale nie zajrzała do środka i nie sprawdzała moich bagaży. I tak karton w całości dowiozłem.

Z ciekawostek - w kartonie tym, między innymi, była konkordancja. Wówczas w miejscowości Winnica była pewna siostra, która zajęła się pracą misyjną i szukała właśnie konkordancji. Powiedziała, że jest gotowa dać nawet równowartość krowy, byle tylko zdobyć tekst, który jest jej potrzebny do pracy dla Pana. Mój teść, członek Kościoła Baptistów w Równem, wiedział o tym i gdy tylko zobaczył w pudle tą książkę, powiedział, że będzie ona właśnie dla tej siostry.

Dystrybucją literatury i Biblii zajmowano się po moim wyjeździe, aby nie wzbudzać skojarzeń między moim pobytom, a pojawieniem się nowego „rzutu” literatury. Część przesyłano dalej, do okolicznych zborów w Dubnem, w Młynowie i do wielu innych w ich okręgu. Na miejscu w Równem głównie zajmował się tym mój teść. Miał taki swój notesik i jeśli ktoś przychodził do niego z prośbą o Biblię lub literaturę, zwykle odpowiadał, że na razie nie ma. Prosił, żeby się przypomnieć. Po takiej rozmowie, zapisywał sobie nazwisko w notesiku. Jeśli ktoś tylko raz się zapytał, nie dostawał, bo teść dochodził do wniosku, że widać potrzeba nie była tak bardzo pilna. Ale jeśli nazwisko pojawiało się w notesiku kilka razy – przy następnym przetruciu dostawał „swoją” Biblię.

Żona często jeździła w odwiedziny do swej rodziny na Ukrainę, toteż wykorzystywaliśmy każdą okazję do przewożenia literatury. Początkowo jeździliśmy razem z żoną, ale pochodząc z Ukrainy, miała większy lęk przed konsekwencjami „wpadki” i każdą taką podróż odchorowywała emocjonalnie. Zacząłem więc na „przemytncze” wyprawy jeździć oddzielnie. Kolejnym razem miałem dość dużą torbę – nałożyłem do niej 28 Biblii i 16 dużych ukraińskich Nowych Testamentów. Dodatkowo zabrałem płyty z pieśniami chrześcijańskimi, które dostaliśmy w paczce z Kanady od wujka. Mój teść był akurat u nas w gościnie i gdy zobaczył te płyty, powiedział, że za każdą przewiezioną pomyślnie przez granicę daje 50 rubli. Dostał też piękny Nowy Testament oprawiony w skórę. Obawiał się jednak wieźć go przez granicę, bo mówił, że jako pastorowi i tak go odbiorą. Zostawił go mnie do przewiezienia.

Ukraińskie Nowe Testamenty przywiózł wtedy do mnie brat ze Zborów Chrystusowych w Szwajcarii – Stepan Biełak. Wziął ze sobą do Polski 20 sztuk NT i powiedział, że ma jeszcze 10 tysięcy sztuk w Szwajcarii. Właśnie szukał kontaktów, dzięki którym mógłby je wszystkie przewieźć przez granicę. Dostał ode mnie adres jednego z braci, i on to przewiózł cały ten transport na Ukrainę i Białoruś.

Trasę pokonywałem, jak zwykle, pociągiem. Na granicy weszła straż graniczna, zebrano paszporty. Ku memu zdziwieniu powiedziano mi, że mój paszport jest nieważny, dalej jechać nie mogę i „zdejmy” mnie z pociągu. Celnikom powiedziałem, żeby mnie nie kontrolowali, bo mój paszport jest nieważny i zaraz wysiadam.

Strażnicy wrócili i ja im mówię, że jestem niewidomy, jadę do żony, która właśnie jest na Ukrainie. W domu, w Szczecinie nikogo nie ma, bo matka wyjechała do sanatorium i nie mam po co wracać, bo sam sobie nie poradzę. Dodałem też, że wczoraj byłem w urzędzie paszportowym gdzie powiedziano mi, że

wszystko jest w porządku i mogę jechać. Strażnik zarzucił mi kłamstwo. Powiedział: „Zadzwoń do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i jeśli tam coś na pana mają, to się szybko dowiem. Szkoda czasu, jeśli coś jest nie tak z pańskimi dokumentami, to proszę mi powiedzieć teraz.” Odpowiedziałem, że nigdy nie miałem problemów na granicy, nigdy nie zapłaciłem żadnego mandatu ani nie byłem zatrzymany, choć tyle czasu jeżdżę na Ukrainę.

„Za półtorej godziny będzie kolejny pociąg i do tego pociągu ja pana wsadzę” - powiedział. To była wolna sobota. Następny pociąg przyjechał i odjechał, a ja dalej siedziałem na peronie. W głowie miałem myśli: „Na co ci ten kłopot? Zostaw to wszystko gdzieś pod śmietnikiem i już. Będziesz wolny, pojedziesz spokojnie dalej.” Jednak czekałem dalej. Czekałem długo, chyba z cztery godziny. Przyjechał jeszcze jeden pociąg - ostatni. Słyszę jak przez megafony zapowiadają, że i on odjeżdża. I właśnie wtedy słyszę jak ktoś biegnie szybko po peronie, stukając obcasami. To ten strażnik - podbiegł do mnie, chwycił walizkę i kazał biec do pociągu. Torbę z Bibliami sam złapałem i dogoniliśmy ostatni wagon, gdy pociąg już ruszał. Celnik pomógł mi wsiąść i powiedział do białoruskich kolegów: „To jest niewidomy Polak, skontrolowaliśmy go, wszystko jest w porządku, dobrze go przewieźcie”. Celnicy pomogli mi wejść do przedziału pierwszej klasy.

Na kontrolę weszła tzw. Czarna Brygada, co oznacza osobistą kontrolę każdego pasażera i wszystkich jego bagaży. Ja byłem kontrolowany jako szósty, ostatni. Pomyślałem, że ze mną koniec. Nie miałem wątpliwości, że będę aresztowany za to, co wiozę. Po pierwsze za ilość literatury, a po drugie, i co było dużo gorsze, za posiadanie płyt wyprodukowanych w Stanach Zjednoczonych. Oni jednak zapytali się mnie: „Czy to pan jest tym 'ślepy Polakiem'”? Ja odpowiedziałem, że tak. Wzięli moją kartę celną, podstemplowali, zasalutowali i poszli dalej. Nawet nie dotknęli moich bagaży, ani mojej osoby.

Podczas trzeciej z „ciekawszych” podróży wiozłem 40 Biblii. Tym razem poszedłem nawet na rynek w Szczecinie i kupiłem 100 rubli od ludzi, żeby, o ile zajdzie taka potrzeba, dać celnikowi. Jechaliśmy pociągiem do Brześcia. W przedziale było oprócz mnie troje ludzi - 2 kobiety i mężczyzna. Jechali razem. Jak zawsze, wiozłem towar (czyli odzież „na wabia”, żeby wyglądało, że jestem handlarzem) zapakowany w przezroczysty worek po płaszczach, zawiązany sznurkiem. Wszystko po to, żeby było widać, co jest w środku. Osobno zaś miałem torbę z bibliami, a na wierzchu koszulę i pęto kielbasy.

Wszedł celnik i zapytał się nas wszystkich: „Co wieziecie?” Oni odpowiedzieli mu, że nic nie wiozą i dodali, że są razem. Ja zaś pokazałem na moje rzeczy i odpowiedziałem: „Ja wiozę tę torbę i ten worek.” Celnik rozejrzał się po przedziale i pokazując ich bagaże zaczął zadawać pytania: „A to czyje? A to czyje? I czyje jest to?” Oni na to, że ten bagaż jest ich, i ten jest ich, i jeszcze to, i to, i to... Cały przedział zastawiony. Celnik rozzłościł się. „Jak to?! – krzyknął - mówicie, że nic nie wieziecie! Ten człowiek (tu pokazał na mnie) powiedział, które są jego rzeczy, a wy chcieliście mnie oszukać?! Schodzić do kontroli osobistej na urząd celny!” Mnie polecił zostać w przedziale. Tamci poszli, a on rozpoczął kontrolę u mnie. Znowu zadaje mi pytanie: „Co pan wiezie?” Ja na to, że to jest moja torba i mój worek, a jeśli jeszcze coś tu jest, to nie moje. Dodałem też, że jestem niewidomy i swoje rzeczy trzymam blisko siebie. Celnik poprosił mnie, żebym wyszedł na korytarz. „No i co teraz?” - pomyślałem. „Podniesie kielbasę, potem koszulę, a tam... 40 biblii.” On tymczasem wychodzi na korytarz i znowu zadaje pytanie: „Który to pana bagaż?” Ja znowu spokojnie odpowiadam: „Ten foliowy worek i ta siatkowa torba.” Wrócił do przedziału. Powtórzył to trzy razy i ja za każdym razem spokojnie odpowiadałem mu, który to mój bagaż. Na koniec powiedział: „Może pan wejść, wszystko jest w porządku, może pan jechać.” Byłem tak zaskoczony, że z tego wszystkiego zapomniałem mu dać te 100 rubli!!

Przesiadkę miałem w Sarnach. Pociąg przyjechał około pierwszej w nocy. Zima, mróz, ciemno. Teś wyjechał na stację i czekał na mnie, ale z jakiegoś powodu nie zobaczył mnie od razu. Ja zaś wysiadłem z pociągu na peron, stanąłem i... długo czekałem. Wszyscy odeszli, ucichło – zostałem sam na peronie. Potem powolutku przesunąłem się w stronę stacji, kierując się na dźwięk megafonu. Dotarłem do budynku stacji i tam doczekałem do rana. Właściwie obaj czekaliśmy do rana, nie wiedząc, że jesteśmy tuż obok siebie. Gdy zapowiedziano poranny pociąg do Równego, zacząłem wychodzić na peron i zderzyliśmy się z teściem w drzwiach... Odkryliśmy, że całą noc spędziliśmy obok siebie na stacji...

Jak Biblie trafiały do mnie? Kanały dostawcze były różne. Na samym początku jeździłem do Warszawy do Towarzystwa Biblijnego i do Zboru Baptystycznego na Waliców - stamtąd brałem Biblie. Były w języku rosyjskim, ukraińskim, a także ormiańskim.

Później było przeróżnie: przywozili je Szwedzi – marynarze, po kilka sztuk. Były paczki z Jugosławii, między innymi od brata Konenko, który potem 3 lata spędził w więzieniu właśnie za tę działalność. Dostawaliśmy paczki z Kanady od naszego wujka - Michała Podworniaka. U niego była główna drukarnia materiałów baptystycznych w języku rosyjskim i ukraińskim, na Stany Zjednoczone i Kanadę. Z tymi paczkami było ciekawie, bo razem z każdą paczką przychodził tzw. „dokument przewodni”. Pismo to stwierdzało, że tyle a tyle literatury zakazanej w Polsce zostało skonfiskowane (podawano w kilogramach i wymieniano: książki, kasety, śpiewniki), ale... paczka i cała jej zawartość pozostawały nietknięte. Nigdy nic nam tak naprawdę nie skonfiskowano.

Regularnie, przez wiele lat, brat Kozłowski z RFN z misji „Światło na Wschód” organizował transporty za pomocą różnych „turyistów” i dostarczał książki na „punkt przerzutowy” w naszym domu. Owi „turyści”, to była głównie młodzież z rosyjskich zborów w Niemczech. Przywozili literaturę i Biblie samochodami, specjalnie do tego celu przystosowanymi, zazwyczaj z podwójnymi ścianami. Rozładowywali je u nas, wprost na ulicy. Niemcy się bali, ale ja mówiłem im, że u nas tu wszyscy sąsiadzi porządni i pilnują. Jeśli tylko zauważą coś podejrzanego, to dadzą znać. Kilka razy trzeba było przeładowywać w garażu, a raz nawet pojechaliśmy do lasu, bo nas „pilnowano”.

Tadeusz Terefenko

Urodzony w Paszowej koło Ustrzyk w 1940r. Po wojnie, w ramach akcji „Wisła” przesiedlony wraz z matką, dziadkami i rodzeństwem do Chłopowa, w okolicy Choszczna (ojca rozstrzelano w 1941 r. za próbę przedarcia się do Generalnej Guberni). W 1961 roku uległ wypadkowi tracąc dłoń i wzrok. Wraz z żoną Marią są wieloletnimi członkami Kościoła Chrześcijan Baptystów w Szczecinie.

Zebrata Agnieszka Domagała